

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



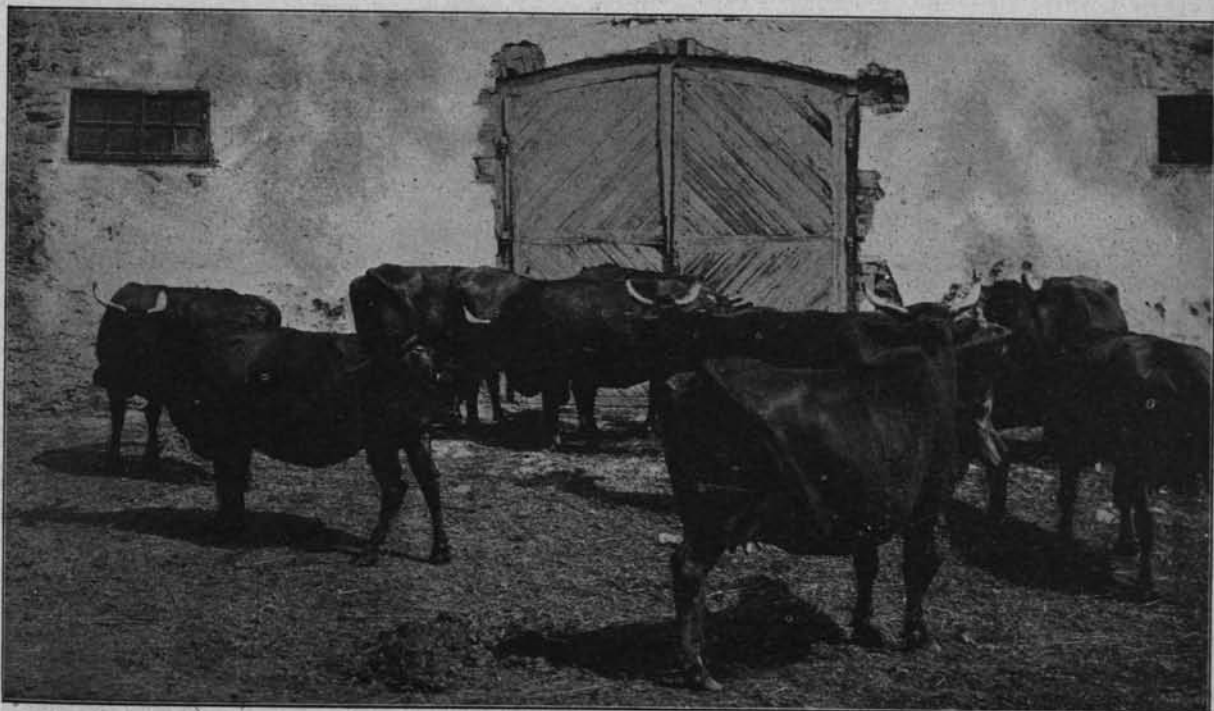
Stanisław Lencewicz.

Wyżyna Kielecko - Sandomierska. 9)

ŻYCI E.

Fauna. Profesor uniwersytetu sofijskiego dr. A. Iszirkow w swojej geografii Bułgarii opisuje faunę krajową w sposób następujący: „Pchła — zwykle zjawisko w domu bułgara; równie często zdarza się pluskwa, nie dająca człowiekowi spokoju w nocy. Wesz wypędzo-

no z wielu mieszkań, ale w niższych sferach jest ona wielką plagą, gdyż nietylko wypełnia pościel i odzież, ale również dokucza ludziom. Muchy brzęczą wszędzie, niepokoją człowieka i brudzą jego pokarmy i napoje. Nieprzyjemnymi gośćmi są również karaluchy, często mieszkające w szafkach ściennych, kuferkach; wchodzą one wszędzie w mieszkaniach... Rozmaite



barwne motyle, latające wiosną i w lecie po kwiatach i drzewach i wspaniale dopełniające piękny krajobraz, pozostawiają na rok przyszły bardzo niepożądanych gości — gąsienice, objadające mięsiste liście drzew, pozbawiające lasy i sady liści...“

Możnaby było w sposób podobny opisać świat zwierzęcy wyżyny Kielecko-Sandomierskiej, ale nie będę naśladował bułgarskiego profesora. W inny sposób jednak pisać o faunie nie można, bo niema zupełnie materiałów i przyczynków, na podstawie których możnaby było coś napisać. O gadach i zwierzętach bezkręgowych na omawianym terenie i w pozostałych dzielnicach Polski nic niewiadomo. Pomiędzy płazami znany jeden gatunek naogół obcy w faunie Królestwa. Jest to traszka górską (Triton alpestris), notowany pod Kielcami w roku 1891 przez Śumińskiego i pod Skarżyskiem w roku 1913 przez Roszkowskiego¹⁾. Ryby, ptaki i raki są prawdopodobnie te same, co i w pozostałych dzielnicach, ale nie wiemy, czy wśród nich niema jakich osobliwości. Dawniej w puszczech tutejszych nie brak było nawet grubego zwierza, niedźwiedzie np. żyły do połowy XIX wieku, ale obecnie wyginęły lub zostały wyniszczone; zaledwie tu i owdzie wilk lub dzik się trafi.

Z pośród zwierząt domowych na szczególną uwagę zasługuje bydło, tem bardziej, że w książkach popularnych zwykle mówi się o niem jako o osobnej rasie świętokrzyskiej. Getko-Wydźga²⁾ i Łuszkiewicz³⁾, w swoich pracach wyróżnili dwie odmiany tutejszego bydła. Na stoku północnym, o spadkach łagodniejszych, gdzie gleba żyzniejsza i roślinność bujniejsza, bydło odznacza się większą niż w okolicy produkcją mięsną. Maść jego jest stała: biały grzbiet, białe podbrzusze, duża biała łysina na głowie, nogi od połowy i koniec ogona—białe. Czystsza od niej jest właściwa odmiana świętokrzyska; odznacza się ona maścią stałą — wiśniową w różnych odcieniach, z białymi plamami na wymionach i białym lub siwym końcem ogona. Głowa stosunkowo niewielka, czoło płaskie, nos garbaty, rogi białe o czarnych końcach, długość ciała znaczna, nogi krótkie, ale bardzo muskularne, ogon cienki, sięgający prawie do ziemi, linia kręgosłupa prosta, zad wzniesiony.

¹⁾ „Wszeczeńświat“ Nr. 10, rok 1913. Korespondencya.

²⁾ Getko-Wydźga. Przyczynek do monografii bydła rasy świętokrzyskiej. Pamiętnik Fizyograficzny tom VII.

³⁾ Łuszkiewicz. O bydle gór Świętokrzyskich. Sprawozdanie komisji fizyograficznej 1899.

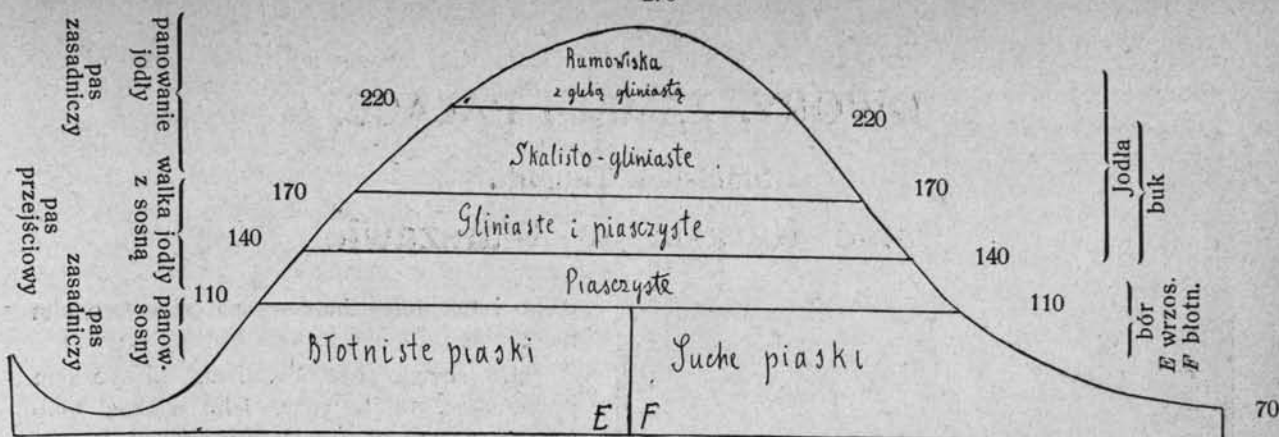
Jakkolwiek opisane bydło odznacza się pewnemi stałymi cechami, jak maścią, stałością budowy czaszki, wielką siłą dziedziczenia cech rodzinnych, to jednak nie jest ani rasą kulturalną, ani wogóle żadną rasą, gdyż niema po temu dostatecznych podstaw. Jest to tylko górską odmiana polskiego bydła typu *bos taurus brachyceros*, przyczem bydło z północnych stoków gór Świętokrzyskich jest odmianą mniej czystą.

Produkcją mięsną bydło to nie odznacza się, prawdopodobnie z powodu bardzo nędznej paszy, gdyż z łatwością daje się wypasać. Jest ono jednak znakomitą siłą pociągową — nawet krowy używane są w tym celu w wielu miejscach — odznacza się zdrowiem, niewybrednością w pożywieniu i mlecznością. Wprawdzie stosunkowo do małego wzrostu mleczność jest ledwo zadowalającą, ale mleko zawiera 16% tłuszczu, a ciężar jego właściwy jest o 1 do 1,5 stopnia wyższy od ciężaru mleka normalnego.

Świat roślinny gór Kielecko-Sandomierskich, a szczególnie ich części centralnej jest niezmiernie ciekawy. Jest to jak gdyby oaza flory gór zachodnio-europejskich, a jednocześnie szczątkowy obraz minionej epoki geologicznej u nas.

W odróżnieniu od większości kraju, gdzie podstawowem drzewem, tworzącem lasy, jest sosna, w borach tutejszych panuje jodła (*Abies pectinata*), rzadziej buk (*Fagus silvatica*), a towarzyszą im wymierający epigoni ubiegłych czasów — modrzewie (*Larix europaea*) i bardzo rzadko cisy (*Taxus baccata*). Dodatkową roślinność stanowią dęby (*Quercus sessiliflora* i *Q. pedunculata*), lipy (*Tilia parvifolia*), brzozy (*Betula alba*), klony (*Acer platanoides*), graby (*Carpinus Betulus*), jawory (*Acer pseudoplatanus*) i inne.

Pasma kwarcytowe, jak Jeleniowskie, Łysogórskie, Klonowskie, pokryte są borem jodłowym z domieszką buków i modrzewi. Typowym przykładem jest Łysica, na której wyróżniono 3 pasy roślinności. Szczyt pokryty jest jednostajnym borem jodłowym, rosnącym na kwarcytach, wieńczących górę. Można tu obserwować na wywróconych drzewach, jak korzenie wciskają się w szczeliny, jak obejmują bryły skalne, jak dążą do objęcia w swoje posiadanie nagich rumowisk. Ale i te nie są zupełnie nagie, rosną na nich mchy i porosty (szczególnie charakterystyczny *Lichen geographicus*), a wraz z poziomkami stanowią awangardę zwycięskiej armii flory. Pas środkowy obejmuje błotniste tarasy (tu zbierają się wody w strumyki), porośnięte jodłami z domieszką modrzewi. Podszycie stanowią duże mchy (*Polytrichum commune*, *P. gracile*, *Atrichum undula-*



rys. pg. Szenberga St. Lencowicz.

SCHEMAT ROZKŁADU GLEBY I ROŚLINNOŚCI LEŚNEJ W GÓRACH ŚWIĘTOKRZYSKICH.

tum) różne gatunki *Sphagnum* oraz piękne paprocie. W pasie dolnym na gruncie gliniasto-piaszczystym rosną jodły wraz z bukami i modrzewiami.

Na drugim szczycie (Łysej gorze) oprócz wymienionych już bytują ciekawe paprocie. Jastrzębowski znalazł tu bardzo rzadką paproć (*Asplenium septentrionale*), oprócz niej rosną *Aspl. Trichomanes*, *Cystopteris fragilis*, *Asplenium Ruta muraria*¹⁾ i inne. Ta ostatnia paproć jest typowa dla skał wapiennych, a obecność jej na Łysej górze uwarunkowana jest spoiwem wapiennym, jakie zlepia kwarcytowe mury klasztoru świętokrzyskiego.

Północne stoki Łysogór bogatsze są w rośliny, niżeli południowe, jednak i te ostatnie nie są pozbawione osobliwości. Nieliczne, odosobnione jeden od drugiego osobniki cisu tworzą niewielką domieszkę w borze, rozłożonym na stokach południowych. Modrzewie w większej ilości występują na wszystkich stokach, choć są przywiązane do pewnych wysokości (o czym później), ale zwarcie obszaru nie zajmują. Tylko około Nowej Słupi góra Chełmowa pokryta jest borem modrzewiowym; jest to największy w Królestwie naturalny bór modrzewiowy.

Roślinność leśna zależy w górach Kieleckich ściśle od ukształtowania pionowego ładu, wzniesienia nad poziom morza i charakteru

gleby. Szenberg¹⁾ uszeregował tę zależność sfer. Szczyty gór, gdzie glebę tworzą zwiertrzałe piaskowce i kwarcyty, porośnię są wyłącznie jodłą (strefa I: *Abietum*); niżej pomiędzy 170—220 sążni na piaszczystej glinie wyróżnił on typ jodłowo-bukowy (strefa II: *Abietum phagetum*). Jeszcze niżej na poziomie 150—120 sążni porasta bór jagodowo-paprotnikowy na gruntach piaszczystych (strefa IV: *Pterivaccinietum*), a wreszcie bór sosnowo-wrzosowy na stokach przechodzących w doliny i w samych dolinach (strefa V: *Pinetum-callunetum*). W miejscowościach, położonych poniżej 100 sążni nad poziomem morza, częstokroć wody gruntowe znajdują się tak płytko pod glebą, że powstają dzięki nim mokradła porośnię torfowcem (*Sphagnum*); ten typ Szenberg nazywa *Pinetum - vaccinietum - callunetum*. Na poziomie 150—170 sążni, czyli pomiędzy strefą drugą a czwartą ciągnie się trzecia; gleba jej stanowi szereg stopniowych przejść pomiędzy gliniastą drugiej strefy, a piaszczystą czwartej; przytem strefa trzecia wdziera się wyżej w drugą, a niżej w czwartą. Roślinność jej jest również przejściowa (*Pinetum-Abietum*), a cała sfera stanowi teren walki pomiędzy sosną a jodłą, w której zwycięstwo odnosi zwykle jodła, szczególnie na gruntach bardziej gliniastych. Poglądowo zestawiał to wszystko Szenberg, tak jak to widać na załączonym z jego pracy schemacie.

¹⁾ *Aspl. Ruta muraria* widziałem na Karczówce; stanowisko to nie jest notowane w literaturze.

¹⁾ Szenberg. Izsledowanie jestiestwienno-istoriczeskich usłowij i tipow nasażdenij Bodzentynskawo lesniczestwa 1908.

C. D. N.



DWORY, ZAMKI i PAŁACE.

Stanisław Thugutt.

Pałac Karasia w Warszawie.



PAŁAC KARASIA W WARSZAWIE.

fol. Zdż. Marcinkowski.

Przy zbiegu ul. Oboźnej i Krakowskiego Przedmieścia¹⁾, nawprost pomnika Kopernika i b. pałacu Staszycy stał do niedawna pałac Karasia. Nie należał do świetnych dzieł budownictwa, ale swoją spokojną i niepozobawioną pewnej wytworności fasadą, swoim pańskim mimo nędzę i odrapanie wyglądem nadawał ulicy piętno całkiem zdecydowane.

Pałac ten cieszył się wśród najszerzych warstw ludności warszawskiej mocno ugruntowaną popularnością, co nie przeszkadzało, że o pochodzeniu nazwy i osoby pierwszego właściciela błąkały się bardzo mgliste i niewyraźne wspomnienia.

Trudno robić z tego zarzut pamięci mieszkańców Warszawy; nawet najskrzętniejsi badacze przeszłości miasta nie potrafiliby wiele co więcej powiedzieć.

Napisał o Karasiu całe studium w swoich „Żywotach sławnych Polaków“ Julian Bartoszewicz, podał o jego pałacu kilka ciekawych szczegółów Kraushar, obtarł się mimochodem w swoich mozolnych poszukiwaniach bystrzej od obu patrzący, zasłużony Tad. Korzon—i pomimo wszystko, pomimo pewnego zaciekawienia, jakie mimowoli budzi ta anonimowa postać człowieka, który przez życie przejść potrafił tak

¹⁾ Właściwie przy zbiegu Oboźnej i Aleksandryi (obecnej ul. Kopernika); tak notowały go taryfy jeszcze w połowie XIX st.

cicho i tak bez śladu — nie wiemy o nim nic niemal.

Jeśli czego był świetnym, klasycznym przykładem, to karyery, jaką można było w Rzeczypospolitej, zwłaszcza o tej późnej dobie schyłkowej, zrobić na dworze pańskim. Trzymał się Poniatowskich bezwzględnie, bez zastrzeżeń — to było jego właściwym zawodem; — najprzód Stanisława, kasztelana krakowskiego, później, jakby w spadku przekazany — Stanisława Augusta. A że tamtym z chudopacholskich czapek na głowach wyrosła złota, choć cierniami podszyta korona królewska, więc i on bitą, pewną ścieżką łask pańskich doszedł do krzesła senatorskiego, do kasztelanii wiskiej.

Jeśli mamy wierzyć Bartoszewiczowi, a może to nam przyjsć bez trudu, urodził się Kazimierz Karaś r. 1711. Ale i Bartoszewicz nic więcej ponadto powiedzieć nie umie. Tyle pewien jest, że pochodził ze stanu szlacheckiego, co zresztą przy ówczesnych stosunkach zdaje się być nieuniknionem, że pieczętował się Dąbrową i że wyrósł gdzieś w jakimś deskami zabitym zaścianku. Głucho o Karasiach w Niesieckim, głucho w aktach sejmikowych, co oczywiście nie dowodzi niczego więcej jak tylko, że takich ledwo piśmiennych szaraków szlacheckich nikt do podpisów nie wzywał.

Dla świata, dla Rzeczypospolitej narodził się przysły dygnitarz dopiero 35 lat później, przy pierwszym znanym nam akcie, tyczącym jego osoby, akcie sprzedaży wójtostwa w należącem do Stanisława Poniatowskiego starostwie mostowskim (w Belzkiem). Zaszczepiona na dworze kasztelańskim płonka zaczyna rodzić owoce. Niebawem zostaje Karaś cześnikiem buskim, a po przeniesieniu się Poniatowskiego bliżej stolicy, do Ryk, cześnikiem liwskim. Żeby już nie przestać być typową ilustracją karyer ówczesnych, był zarazem — ów człek niewojenny najbardziej niewojennych w Polsce czasów—pułkownikiem poważnego znaku, co nie było wprawdzie dochodem, ale było drogą do dochodów torującym honorem, skoro się za kolegów miało pierwsze w Polsce nazwiska.

Trzymał się też — można przypuszczać—pan pułkownik złotodajnej klamki magnackiej oburącz. Trzymał się aż do śmierci swego

pierwszego protektora, któremu 1762 r. zamknął w Rykach oczy, trzymał tem bardziej tego z jego synów, któremu się fortuna najlaskawiej, jeśli nie najszczerzej uśmiechnęła. Z majordomusa domu kasztelańskiego do prywatnego marszałka dworu królewskiego był już tylko krok jeden, nawet krok w tym szczęśliwym wypadku niewielki. Wobec wielkich dygnitarzy i ministrów koronnych, marszałka wielkiego i tytularnego marszałka nadwornego, był Karaś, prezydujący w kamerze dworu królewskiego, po staremu niczem, ale biorąc rzeczy praktycznie, życiowo, okazał się ten mały krok wielkim doprawdy skokiem, zwłaszcza gdy się zaczęły sypać z łatwej ręki królewskiej godności i zaszczyty, nie zawsze i nie ze wszystkim będące gołym tylko zaszczytem. Gradem się to sypało, jak złoty deszcz Jowiszowy na Danae. Od konwokacji do koronacji królewskiej administrator poczt koronnych, członek komisji skarbowej dóbr stołowych, poseł ziemi warszawskiej, kasztelan wizki, dożywotny posiadacz soltystwa na Śpiżu, przy pierwszym zaraz rozdawnictwie kawaler orderu św. Stanisława, asesor kompanii manufaktur wełnianych, członek asesoryi koronnej, starosta rycki, gaszczyński (na Mazowszu) i zadybski (w Sandomierskiem) — miał chyba ten arcyskromny przyjaciel Familii prywatne swe zasługi zapłacone aż nazbyt hojnie groszem publicznym.

Już na samym schyłku żywota, w 1773 r. został — i to już jest zgrzytem bezmała — członkiem delegacji sejmowej do zawarcia pokoju z mocarstwami podziałowemi, gdzie zresztą, jak wszędzie, ani jednego śladu po sobie nie pozostawił. A jednak go i tam jeszcze hojnie dłoń protektorska osłaniała, wyrabiając mu, już w chwili zgonu prawie, dożywocie na dobrach pojezuickich w Nowym Dworze i cztery wsie w ziemi stężyckiej.

Dziśbyśmy o tym tytułowanym posesyonacie — asesorze, staroście, kasztelanie — nie wiedzieli prawie nic zgoła, gdyby mu nie przyszła szczęśliwa myśl utrwalić się w pamięci potomnych swoim pałacem. Jak wszystko i to było z daru, — prawdopodobnie nie tylko z daru ale i pomysłu — Poniatowskiego. Miał tu już Stanisław August od 1784 r., niedobrym świecąc przykładem, swoją własną dziedziczną jurydykę Stanisławów, obejmującą ulice Radną, Lipową, Browarną i Leszczyńską. Wcześniej jeszcze, około 1777 r., założył na tyłach pałacu Kazimierowskiego drugą oddzielną jurydykę zwaną Obozną albo Printzen-hoffem. Przypuszczać można, że grunty te, skupowane częściowo od mieszczan, należały do króla o kilka lat wcześniej. Wiemy przynajmniej, że już 1766 r. nabył król od Józefa Ossolińskiego, starosty sandomierskiego, znaczne obszary gruntu,



fol. S. Goebel.

CZĘŚĆ FASADY PAŁAC KARIASIA W WARSZAWIE.

ofiarowując je w trzy lata później, w r. 1769 ulubionemu Karasiowi. Z bardzo pobieżnej historii tego terytorium, jaką podaje Bartoszewicz, zanotujmy tylko, że część jego przynajmniej raz już za Władysława IV była hojnym darem królewskim dla Demetrego Majdla, dworzanina, nabyta w tym celu od mieszczan Pradewiczów. Szło to potem przez różne ręce, łączyło się z różnymi innymi gruntami, magnackimi i szpitalnymi, aż zaokrąglone do pokąźnego całkiem obszaru dostało się we władanie Karasia.

Jeśli sobie zakarbować zechcemy w pamięci mocne, tem mocniejsze w tym okresie, że jeszcze nienasycone zachcianki i popędy mecenasowskie Stanisława Augusta, jeśli uwzględnimy, że w najbliższym sąsiedztwie dwóch znacznych obszarów dziedzicznych swych posiadłości, dwóch przyszłych jurydyk, chciał on niewątpliwie mieć gmachy, służące ku ozdobie i podniesieniu tej części miasta, nie trudno nam będzie uwierzyć, że właściwym inicjatorem okazałej budowli mógł być sam król. Może nawet właściwym twórcą planu, czy przynajmniej doradcą estetycznym, w czem sądzić można, Karaś niezbyt był mocny.

Luźne to zresztą hipotezy, domysły i posądzenia. Ani wiemy, kto pałac stawiał, ani kiedy go ukończono. Dość na tem, że czyjejkolwiek był fantazyi pomysłem, pasował do Ka-

rasia, jakby był właśnie jego w kamienne kształty przeinaczoną skórą. Tak właśnie powinna była wyglądać, wolno mniemać, rezydencya takiego pana prezydenta kamery dworu Stanisława Augusta — nienazbyt wykwintna, nie udająca magnackiej fantazyi, bardzo spokojna, gładka i wstrzemięźliwa. Na attyce herby pańskie, nad obszerną bramą dwa medaliony królewskiego protektora. U bramy wejściowej dziś jeszcze żyjący starsi mieszkańcy Warszawy pamiętają widoczne oznaki szarzy pułkownikowskiej właściciela — dwie zamiast słupów wkopane armatki, potem niewiadomo kiedy i dokąd zabrane.

Był więc ten pałac najefektowniejszym słowem Karasia, szczytem i uwieńczeniem pana kasztelanowej karyery. W 8 lat po darowiznie królewskiej, w r. 1774 zamknął szczęśliwy jego posiadacz strudzone patrzeniem w słońce majestatu pańskiego powieki, pozostawiając prócz pałacu i starostw żonę — drugą z rzędu — Elżbietę Izabellę z Hubińskich, cztery córki, dwóch synów i niedość widocznie jasno zredagowany testament, skoro niebawem zaszła potrzeba sądu polubownego. To są zresztą rzeczy już dalsze i obojętne, nawet tą najskromniejszą karasiową miarką mierząc. Był widocznie pan kasztelan nietylko perłą swojego rodu, ale jego kwintesencją, wziął w siebie siłę i rozmach nietylko uprzednich ale i następnych pokoleń. Może się zresztą synowie narodzili zbyt późno, może już minęły dla różnych karasiów, płotek i kielbiów złote czasy prześwieatnych karier na dworach hojnych mecenasów o nieco nazbyt szczodroblivej ręce.

Dość na tem, że już w 3 lata po śmierci kasztelana połowa pałacu przeszła z rąk wdowy, która już tymczasem zdążyła zaślubić dużo od siebie młodszego Marcina Ledóchowskiego, z powrotem w ręce królewskie, drugą w kilka lat potem posiadał, spłaciwszy brata Michała, Kajetan Karaś. W owym zapewne czasie umieszczona tu była królewska szkoła paziów. A już z Grodna, po katastrofie końcowej darował Stanisław August swoją połowę gmachu wraz z całą jurydyką Obozną z powrotem Karasiowi. Świadczyłoby to — o ile prostą splatą długu nie było — o istotnej wdzięczności, jakiemś doprawdy cieplejszem uczuciu życzliwości dla rodziny starego sługi.

Wnet potem wszystko się to już we mgle rozwiało — i świetność kasztelańska i sami Karasie. Pałac poszedł w ręce obce, ręce całym już małe.

Prawda, miał jeszcze jedną, krótkotrwałą chwilę świetności. Było to w r. 1808, w czasie przyjacielskiego ale doszczętnego podboju Warszawy przez Francuzów. Stał w nim podówczas kwaterą jen. Morand, par Francyi i dowódca dywizyi w korpucie Davouta. Spotkaw-

szy na którymś z wieczorów piękną ale całkiem ubogą panienkę, Emilię Parysównę, dostrzegł ją, zakochał się i ożenił w ciągu dni dwudziestu, co przyznać trzeba równało się najśmielszym atakom napoleońskim. Oczywiście zawalenie się wieży ratuszowej nie zrobiłoby w ówczesnem towarzystwie warszawkiem większego wrażenia, niż to odkrycie ślicznej, rozumnej i dystygowanej osoby, którą wszyscy tyle lat widywali, ale którą każdy z trudem zaledwie dotychczas na ulicy poznawał. Odsyłając ciekawych do „Wspomnień“ Sabiny Grzegorzewskiej i cytowanych w Falkowskiego „Obrazach z życia kilku ostatnich pokoleń“ listów pani Nakwaskiej, nadmienimy tylko, że ślub z pompą i przepychem odbył się w kościele św. Krzyża, jak chce jedno źródło, czy u P. Maryi na Lesznie, jak chce inne, że pannę młodą odwoził z kościoła sam Davout, jak pisze p. Nakwaska, a przyjmował w pałacu Karasia ks. Józef z panią Tyszkiewiczową. Pałac był oczywiście zalany światłem i zasypyany kwiatami do najostatniejszych granic, panna młoda miała białą tunikę brokardową, oszytą prawdziwą koronką brabancką, a w obitym różowym atlasem buduarku czekały na prześlicznym stole marmurowym szale, klejnoty i 30,000 franków na szpilki od hojnego zawsze cesarza. Zgódźmy się, że takiej fantazyi z tysiąca i jednej nocy nie byłby wymyślił nawet stary kasztelan, który tyle przecie w życiu widywał.

Nie przewidziałyby też zapewne i dalszych jego losów, nie domyśliłyby się, że w XIX st. pałac Karasia będzie znany całej Warszawie z arcypopularnego... szynczku, który się w murach jego mieścił. Ale zdolność przewidywania rzeczy dalszych i szerszych nie była mocną stroną pana kasztelana ani całej jego epoki.

Taki jest najpobieżniejszy szkic dziejów gmachu. Dość na tem, że pałac znano i lubiano. Oko przyzwyczało się oglądać szlachetny profil kopernikowego pomnika na tle spokojnej fasady pałacu i kiedy przed paru laty obcięto mu jedno skrzydło dla rozszerzenia ulicy Obożnej, podniosły się głosy dość ostrego protestu. Dyskutowano żywo, ciepło, bardzo logicznie, niekiedy dość nawet namiętnie. Ostatecznie... wśród najlepszych przyjaciół psy zająca zjadły. Jesienią zeszłego roku nabyła pałac firma Kowalski i Trylski i mocnym, logicznym, gorącym argumentem za utrzymaniem budowli przeciwstawiła czyn dokonany — w ciągu kilku tygodni gmach zrównano z powierzchnią ziemi.

Zapewne dalsza dyskusya byłaby dosyć jałowa. Stwierdzimy zatem jedynie kilka faktów, ułatwiających ocenę tego, co się stało.

Dość jednomyślnem zdaniem opinii estetycznej warszawskiej uznany był pałac Karasia za konieczny dla utrzymania charakteru ulicy.

Istotnie, łącznie ze szlachetną, imponującą fasadą kościoła świętokrzyskiego, pomnikiem Kopernika, kilkoma kamienicami z końca XVIII w. i do niedawna — pałacem Staszycza zakątek ten tworzył całość zupełnie skończoną i zdeklarowaną w nastroju ogólnym. Nie podkreślono dość mocno dotychczas, że miejsce to—zbieg Nowego Świata, Krakowskiego Przedmieścia, Oboźnej i Aleksandryi — ma swoją kartę w dziejach Warszawy, że mu się należy troskliwsza opieka i cieplejsze wspomnienie. Tu w 1794 roku odbyło się słynne natarcie pułku Działyńskich na kolumny nieprzyjacielskie; tu w 1814 roku przyjmowano uroczystie zwłoki ks. Józefa, w 1830 odsłaniano przed Tow. Przyjaciół Nauk pomnik Kopernika, tuż obok stał i stoi po dziś dzień pałac Andrzeja Zamoyskiego, korpus kadetów, pałac Krasińskich; tu mieszkali Szopen i Zygmunt Krasiński.

Pierwszy wylom zrobiła przeróbka pałacu Staszycza — fakt na który można tylko, hamując się, zżymać w milczeniu. Wkrótce potem zburzono parę ładnych kamieniczek empirowych dla wystawienia ślicznej kamienicy w stylu krzyżacko-berlińskim. Jedna to z licznych „ozdób“ Warszawy, o których mówić możnaby w rozdziale „jak się szpeci miasto“.

Magistrat, rozszerzając ulicę Oboźną przez obcięcie pałacu Karasia, dopuścił się karygodnego lekceważenia swoich obowiązków, zwłaszcza, że linia ulicy została w ten sposób nie wyprostowana, ale właśnie złamana, i że na drugim rogu ulicy panoszy się po dziś dzień ohydna w swojej bezstylowości buda, którąby należało zburzyć jak najprędzej.

Opinia publiczna, wypowiadając się za utrzymaniem pałacu, miała rację i raz jeszcze

dowodła, jak jest u nas jałowa. Z licznych mniej czy więcej celowych projektów — umieszczenia tu Muzeum miejskiego, zbiorów Tow. Krajoznawczego i t. d. — nie ostał się żaden. Opinia przegadała, ale spekulanci pobili.

Panowie Kowalski i Trylski, nabywając i burząc pałac Karasia, byli zapewne w zupełnej zgodzie z prawami hipotecznymi i przepisami policyjno-budowlanymi. Nie mieli natomiast żadnego prawa niszczyć zabytku, który był własnością publiczną. Jest w Warszawie 5000 domów, które można było sobie obrać za teren swoich spekulacji, a poza tem jest ich kilkaset czy kilkadziesiąt, które należałoby traktować nieco inaczej, niż zwykłą lokatę kapitału.

Jeśli się taki fakt zdarzy w Rzymie czy Paryżu — szkoda jest wobec olbrzymiego bogactwa tamtejszej kultury architektonicznej względnie mała. U nas, gdzie zabytków jest mało i gdzie każdą wybitą szczerbę zalewa paskudne kosmopolityczne błoto bezwyrazowej banalności — szkoda jest wielka. Budynek, którym pp. Kowalski i Trylski ozdobili piękny dziedziniec pałacu Branickich przy Podwalu (także „własny dom“), pozwala domyślać się, jak będzie wyglądał nowy „gmach dochodowy“ firmy.

Nie jest sprawą obojętną, czy opinia publiczna nawet wobec faktu dokonanego zachowa się tak czy inaczej. Projekty przeróbek i upiększeń różnych gmachów i zabytków warszawskich mnożą się ciągle, jak grzyby po deszczu. A ludzie miłujący piękno i przeszłość miasta mogliby je spokojniej przyjmować do wiadomości tylko wówczas, gdyby raz nareszcie zorganizowana, świadoma siebie i praw swoich opinia publiczna chciała powiedzieć różnym spekulantom i poprawiaczom — wara.



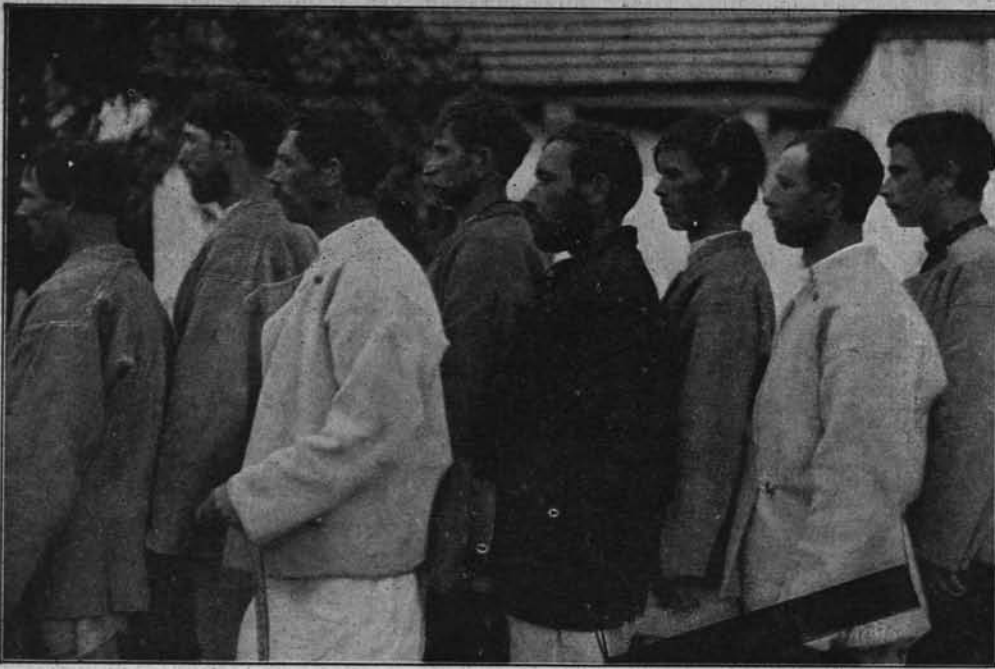
Eugeniusz Frankowski.

Z POLESIA WOŁYŃSKIEGO.

3)

Szary i ubogi, jak otaczająca go ziemia, jest strój poleszuka. Właściwy, najstarszy przyodziewek jego nie posiada żadnych ozdób. Starszy ludzie mówią, że wyszycia, powszechnie dziś zdobiące koszule męzkie i kobiece na koł-

nierzach, naramiennikach i rękawach, weszły w użycie jeszcze za ich pamięci. Dawniej noszono zwykłą koszulę płócienną z wykładanym kołnierzem, związaną tasiemką wełnianą u szyi, i także białe lniane spodnie.



WIEŚNIACY Z MOCZULISZCZ, POW. RÓWIEŃSKI.

fol. E. Frankowski

Na nogach „postoły“ (rodzaj kierpców) z tyka plecione, przywiązane rzemieniem lub sznurkiem do nogi. Dawniej noszono kapelusze słomiane i wełniane czapki rogate; dziś oba nakrycia wyszły z użycia i zastępuje je czapka sukienna. Od chłodu chroni krótka kurta sukienna z białej lub siwej wełny. Ten najbardziej używany strój zdaje się być najodpowiedniejszym do pracy w tych warunkach. Prócz tego od święta noszą długie, sięgające do połowy goleni „swyty“, z tyłu u pasa marszczone z wszywanymi rękawami, i kożuchy na zimę. Kobiety i dziewczęta noszą wyszywane bawełną czerwoną koszule, spódnice perkalowe i fartuchy czarne lub czerwone, gorset perkalowy barwny, często wzorzysty, zbliżony krojem do męskiej kamizeli. Na głowie chustka jaskrawa, noszona przez zamężne jak również przez dziewczęta. „Swyty“ takie same jak męskie.

Kobiety pospolicie chodzą bosą lub w „postołach“, a od święta nakładają buty. Szyję zdobią jaskrawe paciorki szklane „ołtarzyki“ i medaliki. Strój wyrostków ostatnimi czasy staje się bardzo wymyślny. Matki ubierają swoje pociechy jak dorosłych w miniaturze. Drobniak najmniejszy w lecie i w zimie biega po łące w jednej przepasanej sznurkiem koszulinie. Czasami w zimie podczas silnego mrozu wylatują one w tym stroju na dwór i stoją przy bramie, patrząc na przejeżdżających ludzi.

Przeciętny wzrost ludności męskiej, zamieszkującej te obszary, wynosi 166 cm. Osobników, których wzrost nie sięga 165 cm., zaobserwowałem 40% a 60% wzrostu wyższego. Wskaźnik czaszkowy (największa szerokość

kości czaszki, wyrażona w odsetkach największej jej długości) posiadają 82, czem się znacznie różnią od sąsiadów, mieszkańców błotowruckich, których wskaźnik wynosi 85, czyli że są oni skrajnie krótkogłowi.

W zabarwieniu oczu przeważają barwy jasne. Ocu błękitnych 51.3%,

siwych 21%, zielonych 15.3% i piwnych 12.4%. Najczęściej spotyka się barwa włosów — ciemni szatyni — 49%. Wogóle zaobserwowałem osobników z ciemnymi włosami 66% a 34% z włosami jasnymi, wśród których blondyni stanowią 5%.

Skóra poleszuka posiada odcień płowy; odcienie białe i smagłe, spotykane w sumie o połowę rzadziej, występują prawie w równych odstępach.

Współzależność barwy oczu i barwy włosów wykazuje — 15.6% typu ciemnego, a więc posiadającego zabarwienie włosów i oczów ciemne, 52.6% typu mieszanego, wreszcie 31.8% typu jasnego, gdzie włosom jasnym towarzyszą jasne oczy.

Z przytoczonego ustosunkowania wynika, że najczęściej spotyka się typ mieszany, gdzie przy ciemnych włosach widzimy oczy błękitne. Wogóle ludność, zamieszkująca te obszary, nie posiada jednolitego typu fizycznego.

Na wytworzenie się obecnie przeważającego typu niewątpliwie złożyć się musiało kilka odmiennych pierwiastków.

Jakie były one i jakimi szły drogami — oto zagadnienie, które rozwiązać ma antropologia. Czy je rozwiąże — trudno dziś rozstrzygać. Należy jednak przypuszczać, że przy współdziałaniu nauk pomocniczych, etnografii, archeologii i in., gdy będzie rozporządzała poważniejszymi niż dotychczas danymi — odpowie na postawione pytania.

Odrzucając na bok fantastyczne gołostowne przypuszczenia, należy ograniczyć się dziś do skromnej i znużonej pracy nad skrupulatną charakterystyką cech fizycznych ściśle ozna-

czonych miejscowości, wnioskowanie ogólne zostawiając bogatszym od nas w materiały i wiedzę — potomnym.

Opisywane przez nas ziemie leżą na wielkiej odwiecznej drodze, łączącej żyzne połacie południowego Wołynia przez bagna polskie z ziemiami wzdłuż Prypeci i Dniepru.



fot. E. Frankoski.

WIEŚNIACY Z MOCZULISZCZ (CIŻ SAMI, CO NA STR. 184 W PROFILU).

A w owe czasy, gdy cały Wołyń dzisiejszy porastały dziewicze, nieprzebyte bory, nie było innych prócz wodnych dróg przez puszcze leśne.

Wielka ilość kurhanów, wreszcie moc narzędzi krzemiennych człowieka neolitycznego, spotykanych nad brzegiem Horynia wzdłuż całego jego biegu, najwymowniej świadczą o ginących w pomroce czasu dziejach pochodzenia człowieka tą drogą.

Ludność, zamieszkująca te ziemie, posługuje się poleską gwara języka małoruskiego. Gwary tej używają również poleszcy owrucy. Zachowała ona najwięcej form archaicznych, czem przedewszystkiem różni się od posuniętej dalej w rozwoju gwary ukraińskiej.

Podług Czubinskija granice tych dwu gwar ma stanowić od zachodu rzeka Horyń, jednak za miasteczkiem Bereżnicą gwara poleska przechodzi na lewy brzeg Horynia i, rozprzestrzeniając się w kierunku północnym, dochodzi do Pińska.

Południowa granica tych gwar biegnie mniej więcej przez miasta Równe, Korzec, Zviahel, Czopowicze, wschodnia na lewym brzegu Dniepru przez Oster i Czernihów gub.

Z zakreślonych granic widzimy, że gwara poleska zachowała się w mało dostępnych miejscach ziemi ruskiej i że z trzech stron otacza ją gwara ukraińska. Na północy na prawym brzegu Prypeci występują silne cechy językowe białoruskie.

Do niezmiernie ciekawych, choć na pierwszy rzut oka fantastycznych wniosków dochodzi w swej pracy¹⁾ pr. Szachmatow.

Podług niego przed wieloma wiekami między innymi w widłach rzek Horynia i Słuczy siedzieli dzisiejsi Finnowie zachodni. Kolebką Słowiańszczyzny było wówczas porzecze Dźwiny zachodniej i dolnego biegu Niemna.

Między Finnami a Słowianami siedziały plemiona litewsko-łotyskie. Nie będę tu przytaczał niezmiernie ciekawie przedstawionych a popartych przez niego poważnymi danymi językowymi przesunięć całych grup plemiennych; interesujących się bardziej tą sprawą odsyłam do wymienionej pracy pr. Szachmatowa.

Pomijając nie mające dla nas większego znaczenia wzmianki w pracach starożytnych o Neurach i Budynach, plemionach jakoby słowiańskich, zamieszkujących w ich czasie te ziemie, przechodzę do latopisu Nestora, skąd dowiadujemy się, że rzeki Horyń i Słucz były granicą zetknięcia się dwu wielkich plemion słowiańskich — Drewlan i Wołynian. Na wschód mieszkali Drewlanie, skupiający się dokoła swych stolic Korostenia i Wruczaja (dzisiejszego Owruca), na zachód zaś Wołynianie, inaczej zwani Bużanami.

Dowiadujemy się następnie, że Dąbrowica (dawniej Dubrowyca) była stolicą książąt turrowskich, znanych pod nazwą dubrowickich.

¹⁾ P. Czubinskij. Trudy etnograficzsko-statistycznej ekspedycji w zapadno-ruskij kraj.

¹⁾ Szachmatow. K woprosu o fisko-kielt-skich i fisko-sławiańskich odnoszenijach. (Izw. Impier. Akad. Nauk 1911 r.).

Latopis po raz pierwszy wspomina o nich w końcu XII wieku.

Gdy Giedymin wcielił te ziemie do swego państwa, w Dąbrowicy wówczas siedzieli książęta Olszańscy (1321 r.).

W 1571 roku drogą wiana otrzymał te ziemie książę Andrej Kurbskij, banita ruski, wstawiony walką z carem Joanem.

W 1585 roku znowu drogą wiana przeszły te ziemie do rąk Firlejów, następnie Sapiehów. Obecnie Dąbrowica wraz z okolicznymi włościami należy do hr. Broel-Platera, który z ogromnym nakładem prowadzi tam postępową gospodarkę leśną i rolną.

Dąbrowica, dziś drobne miasteczko z ludnością przeważnie żydowską, posiadająca dwuklasową szkołę ludową, ma za sobą świetną

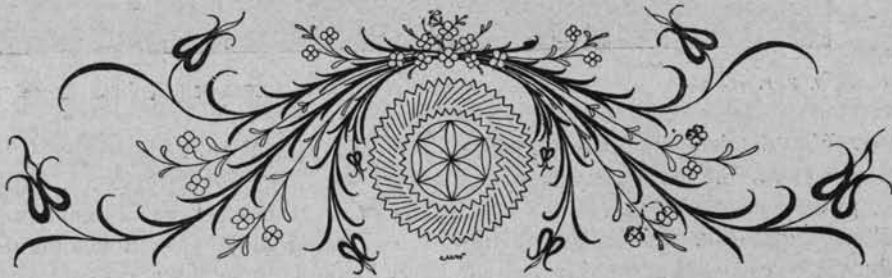
przeszłość w dziejach polskiej oświaty na Wołyniu. W 1695 r., Jan Dolski, marszałek wielkiego księstwa litewskiego, wybudował w Dąbrowicy wielkie kolegium i kościół. W nowo założonej przez księży pijarów szkole wykładano między innymi matematykę, filozofię i języki nowożytnie. Przy szkole istniała klasa wyższa t. zw. studia dla młodszych zakonników.

Szkola ta zyskała zasłużoną sławę, ściągając z odległych nawet stron Polski bogatą młodzież szlachecką.

Później chylącą się ku upadkowi uczelnię zmieniono w czasie komisji edukacyjnej na trzyklasową szkołę powiatową. Ze skasowaniem klasztoru przestała istnieć zupełnie.

O dawnej, lepszej przeszłości mówi wspomniały kościół barokowy.

D. N.



Adam Chętnik.

Z ZIELONEJ PUSZCZY.

8)

Wskutek takich warunków ludność na Puszczy wzrasta szybko, i niewiadomo, gdzieby się ci ludzie pomieścili, gdyby nie śmiertelność wśród dzieci i masowa emigracja. Śmiertelność wzrasta wskutek niedozoru nad młodem pokoleniem. Dzieci kilkoletnie muszą pomagać przy domu i oborze, dźwigać szafliki i wodę wiadrami lub młodsze od siebie rodzeństwo; 5 i 6-letnie dziewczęta i chłopcy pasą gęsi, świnię i bydło, mokną na deszczu, niedosypiają i lichy są odżywiani. Zimą chodzą boso po śniegu i mrozie albo oporzadzają bydło, niekiedy tylko w dolnym ubraniu. Takie hartowanie ciała nie bardzo sprzyja zdrowiu, a sprządza choroby i śmierć, nawet u dorastających. Dorośli jednak kurpie, gdy się zahartują — żyją bardzo długo i są wogóle zdrowi; wielu z nich żyje po 60 lat, nie znając bólu głowy lub zębów. Znam 90-letniego kurpia, który raz na rok idzie odwiedzać córkę, robiąc przytem do 30 wiorst pieszo. Drugi znowu ma lat 80, a zajmuje się tractwem — co

należy do cięższych robót. Każdy też prawie stary kurp, powierzwszy gospodarckę dzieciom, nie zjada chleba darmo, ale wiecznie coś majstruje siekierą lub piłą — naprawia ploty, wozy i porządki domowe. Trochę leniwi są młodzi, ale to już przemija — minęły czasy, gdy na kurpiów pracowały pszczoły.

Wielka płodność i grunty średnio-urodzajne sprawiły, że kurpie muszą szukać chleba i zarobków poza granicami kraju — w Prusach i Ameryce. Emigracja wzrosła na puszczy do niebywałych rozmiarów. Nie tylko już z każdej wsi, ale prawie z każdego domu brakuje po parę i kilka osób, przeważnie młodszych. Dawniej szła przeważnie młodzież męzka, obecnie jeżdżą chłopcy i dziewczęta, niekiedy bez należytej opieki — wprost tak, jak się dawniej jeździło na odpust do sąsiedniej parafii.

Emigracja w cyfrach przedstawia się tak.

W gminie Wach jest 12 tysięcy ludności, z czego w Ameryce znajduje się 2 tys.; z tej liczby 400 emigrantów należało do wojska (mło-



fol. Ad. Chętnik.

KURPIE WE WSI DYLEWIE, POW. OSTROŁĘCKI.

dzień). Emigranci z tej gminy przysyłają rocznie do swych rodzin około 150,000 rb. W roku 1911 z gminy Wach należało do wojska 110 mężczyzn; z liczby tej do I kategorii należało poborowych 30, właściwych zaś poborowych stawało 40 (z II i III kategorii). Brakowało więc 40 — byli w Ameryce.

Półpasków (przepustek granicznych) do Prus wydaje gmina rocznie około 3,500. Tyłu więc robotników sezonowych ucieka co rok na „saksy“.

Ze wsi Dylewa, liczącej 175 domów, w Ameryce jest do 400 osób, które przysyłają rocznie do wsi około 40,000 rb. W r. 1912 z gminy dylewskiej poszło do Ameryki osób 43. Do wojska z tejże gminy w roku 1912 należało 97 młodzieńców (bez I kategorii), przyjeżdżało zaś tylko 12, z reszty zaś 12 było niezdolnych, chorych, a 73 brakujących emigrowało do Ameryki. Do Prus w r. 1912 z gminy Dylewa poszło:

mężczyzn	129
kobiet	88
Razem	217 osób.

Z Myszyńca, liczącego do 5000 ludności, wyemigrowało do Ameryki 600 ludzi wogóle. Do Prus w r. 1912 wyszło z gminy myszyńskiej do 3,000 ludzi na roboty. Do gminy przychodziło w ostatnich latach pieniędzy:

z Ameryki	20,000
z Prus	10,000
Razem	30,000 rb. rocznie.

Z Czarni — wioski i parafii (filia Myszyńca), liczącej 3,000 ludności, idzie do Ameryki co rok przeciętnie około 120 osób. Z każdego domu wyemigrowało kilka osób. Ze wsi Surowego w r. 1913 powinno było iść do wojska 20 dorosłych chłopców, a było tylko 4 — reszta w Ameryce. Z gminy Gawrych, liczącej około 10,000 ludności, wyemigrowało do Ameryki 1,500 ludności. Do gminy Nowogrodu, liczącej 4,000 ludności w r. 1908, „ame-

rykany“ przysłali 15,341 rb. zarobionych na obczyźnie.

Gmina Nasiadki, w pow. ostrołęckim liczy 23 wioski, ludności zaś 7,630, z czego 3873 mężczyzn, a 3,757 kobiet; z liczby tej wyemigrowało do Ameryki 948 mężczyzn i 619 kobiet, czyli razem 1567 mieszkańców. Według lat wychodźstwo do Ameryki tak się przedstawia:

W roku 1908	wyemigrowało	168 m. i 157 kob.
„ 1909	„	135 „ 117 „
„ 1911	„	53 „ 39 „
„ 1912	„	28 „ 16 „
Razem w ciągu tych lat		384 m. i 329 kob.

czyli razem 713 mieszkańców gminy nasiadkowskiej poszło do Ameryki.

W tych samych latach t. j.:

	urodziło się	umarło
w roku 1908	108 m. i 117 k.	73 m. i 72 k.
„ 1909	116 „ 95 „	98 „ 88 „
„ 1911	104 „ 126 „	81 „ 78 „
„ 1912	111 „ 103 „	50 „ 57 „
Razem urodz.	439 m. i 441 k.	302 m. i 295 k.
	ur. 780	zm. 597

pozostało więc 185 osób, a że w tym samym czasie do Ameryki pojechało 713 osób, widzimy więc, że gmina się wyludnia, gdyż pomimo pewnego przyrostu ludności, w gminie zabrakło kilkuset osób.

Na roboty do Prus wyszło z tej samej gminy:

w r. 1908	118 m. i 115 kob.
„ 1909	129 „ 122 „
„ 1910	163 „ 158 „
„ 1911	233 „ 176 „
„ 1912	258 „ 162 „
Razem	901 m. i 733 kob. = 1634

Prawie wszyscy ci robotnicy wracają na zimę.

Poborowych z tejże gminy nasiadkowskiej w roku 1908 było należących do wojska 72; z tej liczby I kategorii 33, nieprzyjętych z różnych przyczyn t. zw. „białobiletowych“ — 2, odroczenie dostał 1, przyjęto do wojska 14, nie stawilo się 22. W roku 1909 było popisowych 65, z tej liczby I kateg. 24, białe bilety otrzymało 2, do wojska poszło 9, nie stawilo się zupełnie 30. W r. 1910 było popisowych 56, z tego I kateg. 18, nie przyjęto 2, odroczenie dostało 2, przyjęto do wojska 9, nie było 25. W r. 1911 było popisowych 92, I kateg. 25, nie przyjęto 8, odroc. 1, przyjęto do wojska 13, nie stawilo się zupełnie 45. W r. 1912 było popisowych 68, z tego I kateg. 12, nie przyjęto 5, odroc. 4, przyjęto do wojska 10, nie stawilo się 37.

W ciągu więc tych 5 lat gmina Nasiadki wydała 353 ludzi, należących do poboru wojskowego; z tej liczby 112 I kategorii, 19 nie przyjęto jako niezdatnych, 8 dostało odroczenie, jako niepewni co do zdolności wojskowej, 55 poszło do wojska, a 159 brakowało — wyemigrowało do Ameryki.

We wsi Surowem w r. 1913 należało do wojska 18, a pozostało 2 — reszta w Ameryce.

Do Ameryki wypycha ludzi nietylko bieda. Jadą tam jedni za drugimi, gnani jakimś owczym pędem. W Dylewie np. są gospodarze, mający po 2 włóki gruntu ornego, a żyją na tem zaledwie 3 osoby — reszta wyemigrowała. Tymczasem tuż obok są gospodarstwa nawet 20-morgowe, a żyje na nich do 10 i więcej osób. Dawniej szli do Ameryki tylko starsi, dziś idzie przeważnie młodzież i to w tak znacznej liczbie, że wiele wiosek jest zupełnie ogołocone z młodzieży. Kawalerowie, gdy posiedzą w Ameryce około roku, przysyłają „szyfkarty“ znajomym pannom, z którymi po spro-

wadzeniu ich zenią się. Niektórzy wyjeżdżają wkrótce po ożenieniu się w kraju, a pozostałe młode żony, t. zw. „amerykanki“ odznaczają się przeważnie lekkim, często nawet rozwiązłym życiem. Pieniądze przysyłają do kraju lub przywożą ze sobą przeważnie starsi i żonaci, młodzież zaś przysyła pieniądze tylko z początku, potem zaś, o ile nie ożeni się w Ameryce — hula i używa świata. Emigranci siedzą w Ameryce 5 lat, poczem dużo ich wraca, lecz nie na długo; część pozostaje w kraju, inni zaś jadą z powrotem, niektórzy już tak jeździli 4 razy. Przyjeżdżający do kraju „amerykany“, o ile posiadają sporo gotówki (oszczędzić mogą i po kilka tysięcy rb.), nie przywożą jej wprost ze sobą, ale oddają bankom amerykańskim, które niby zobowiązują się pieniądze przesłać darmo do miejsca ich zamieszkania. Ale dobrodziejstwo to jest wyzyskiem i oszustwem, banki bowiem obracają i operują tymi pieniędzmi po kilka miesięcy, a zarobiwszy na nich spory procent, odsyłają właścicielowi „darmo“. Ameryka wpływa bardzo na rozluźnienie obyczajów — co już znać na puszczy. Wielu mężów żeni się w Ameryce drugi raz, pozostawiwszy żony swe w Polsce, niektórzy po kilka razy się żenią. Wielu też mężów przez parę lat nie daje znać o sobie, a wtedy pozostała żona dowiaduje się o adres od znajomych i jedzie na poszukiwanie męża do Ameryki; o ile mąż ma jeszcze trochę przywiązania do żony, przygarnia ją do siebie; często jednak mąż, mający inną kobietę, odtrąca właściwą żonę, która skazana jest wtedy na nędzę i tułaczkę. Są i takie wypadki, że bardzo energiczna żona zostawia męża z 5 dziećmi w kraju, a sama jedzie do Ameryki na zarobek i przysyła mężowi co rok po paręset rubli na utrzymanie. Są to przeważnie wytrawne „amerykanki“, które od młodych lat wychowywały się za oceanem.

C D. N.



Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



W środę d. 11 b. m. w wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie odbyło się miesięczne zebranie Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego pod przewodnictwem prezesa K. Kulwiecia. Po odczytaniu protokołu z poprzedniego posiedzenia przez p. T. Koszutińskiego przewodniczący zdał sprawę z czynności Zarządu za ostatni okres sprawozdawczy, komunikując, iż z przyczyn formalnych doroczne zebranie delegatów oddziałów prowincjonalnych odbędzie się d. 18 i 19 kwietnia, nie zaś 3 i 4 tegoż miesiąca, jak to projektowano poprzednio.

Na projektowany w maju r. b. zjazd turystyczny w Krakowie postanowiono wydelegować przedstawiciela Zarządu Towarzystwa z referatem o stosunku krajoznawstwa do turystyki.

W sprawie, podjętej przez trzy towarzystwa warszawskie (Pol. Tow. Krajoznawcze, Tow. Opieki nad Zabytkami Przeszłości i Tow. Artystyczne) sprawy wydawnictwa, poświęconego kapliczkom i figurkom przydrożnym, prezes Tow. K. Kulwiec w towarzystwie ks. Marcina Szkopowskiego udał się do J. E. Arcybiskupa warszawskiego ks. Kakowskiego z prośbą o poparcie podjętej sprawy i zalecenie podwładnemu sobie duchowieństwu współdziałania z inicjatorami. J. E. Arcybiskup przyjął delegatów bardzo uprzejmie, wysłuchał sprawy życzliwie i poparcie swe obiecał.

Odezwę tę podajemy oddzielnie.

Po komunikacie tym prof. Z. Denter wygłosił piękny odczyt „O kurpiach“, opierając go na materiale, zebranych przez p. Ad. Chętnika (którego parę prac na łamach „Ziemi“ w przedmiocie tym podawaliśmy), oraz na swych spostrzeżeniach i wrażeniach osobistych, zgromadzonych na wycieczce odbytej do Zielonej Puszczy w r. 1912.

Pelegent zakończył odczyt szeregiem pięknych obrazów nikiących, ilustrujących życie kurpiów i zachęcał licznych swych słuchaczy do osobistego zwiedzenia tego tak mało znanego zakątka nadnarwiańskiego.

+ W dniu 1 marca r. b., jako w najbliższą niedzielę po rocznicy urodzin Oskara Kolberga, staraniem Oddziału w Zagłębiu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego przy współudziale Tow. Muzycznego z Sosnowca urządzony został koncert, poprzedzony odczytem profesora Opieńskiego o zasłużonym etnografie i badaczu melodyi ludowych polskich. W obchodzie wzięła udział niewielka garstka członków Towarzystwa, pomimo, iż był on zareklamowany w trzech miejscowych gazetach. A szkoda, gdyż twórcy etnografii polskiej należało poświęcić jeden wieczór, a przytem i koncert ze względu na swój program zasługiwał na wysłuchanie. Po słowie wstępnym prof. Opieńskiego, w którym scharakteryzował mrówczą pracę Kolberga na nieprzygotowanym polu i jego zasługi dla nauki polskiej, chór Towarzystwa Muzycznego odśpiewał

„Leć pieśni“, a potem zawsze mile dla ucha swoje piosenki, na motywach Kolberga oparte. Do urozmaicenia koncertu niemało się przyczyniły utwory Szopena, wykonane na fortepianie przez p. Chamską, jak również odśpiewanie kilku piosenek ludowych przez p. Tyszkową, która je odśpiewała w stroju ludowym. Niezwykle sympatycznie były przyjęte przez publiczność fragmenty „Wędrownego grajka“ Noskowskiego w wykonaniu znanych ze swej sprawności chórów męskiego i damskiego, oraz orkiestry pod batutą wytwornego dyrektora p. Stefana Jakubowicza ze współudziałem solistów p. Tyszkowej i p. Mirka.

Frenetyczne oklaski, bukiety kwiecica i inne oznaki zadowolenia były nagrodą dla amatorów i dowodem, że niewyczerpana skarbnica melodyi ludowych zawsze zdola rozgrzać serca czujące po polsku. Żałować tylko należy, że obchód, urządzony z takim pietyzmem dla sztuki i dla Oskara Kolberga, nawet przy niewielkich kosztach przyniósł deficyt dla Towarzystwa.

oooooooo

Ze stowarzyszeń.

(t) Towarzystwo Miłośników Historii w Warszawie, które z wielkim nakładem pracy, znanstwa i kapitału doprowadza do skutku restaurację otrzymanej w darze od ks. Czartoryskich kamienicy książąt mazowieckich, wydało cztery pocztówki, wyobrażające fragmenty pięknych drzwi i sieni domu. Pocztówki te powinny szybko rozejść się w szerokich sferach miłośników Warszawy, nie tylko bowiem są ładnie wykonane, ale i przyczynią się do powiększenia funduszu odnowienia domu, co jest rzeczą nie tylko potrzebną, ale i ze względu na olbrzymie koszty—pilną.

oooooooo

Nowe książki.

„Nad Świsłoczą“. Kalendarz miński informacyjny na rok 1914 pod redakcją W. Dworzaczka (Mińsk lit., ul. Franciszkańska v. Gubernatorska 34). Druk. „Znicz“ Wilno.

Opracowany przez p. Dworzaczka kalendarz miński na rok 1914 wyróżnia się nader dodatnio wśród wszystkich naszych prowincjonalnych wydawnictw tego typu. Jest to niezawodnie kalendarz, mogący służyć za wzór innym tego rodzaju zamierzeniom, zawiera bowiem możliwie pełny obraz życia polskiego na danym obszarze kraju. Poza zwykłymi rubrykami i informacjami kalendarzowymi mamy tu na wstępie dokładną wiadomość o kościołach i hierarchii kościelnej w diecezji mińskiej. Da-

lej idzie zwięzły zarys dziejów gub. mińskiej, wiadomość o samorządzie miejskim w Mińsku lit. (wykaz radnych z podziałem na narodowość) oraz w miastach powiatowych. Następnie mamy artykuł o Polakach w ziemstwach wraz z niezbędnymi wykazami statystycznymi, wykaz lekarzy, adwokatów i rejentów w całej gub. mińskiej, informacje o marszałkach szlachty, o szkołach mińskich i prowincjonalnych, wykaz radnych według narodowości w ziemstwach gub. mińskiej z podziałem na powiaty, wykaz gorzeln i krochmalni w gub. mińskiej z podaniem nazwisk właścicieli i przeciętnej produkcji. Najcenniejszy jest jednak w kalendarzu spis ziemian mińskich, posiadających 100 i więcej dziesięcin ziemi, z podziałem na powiaty i według narodowości. Pozwala się on orientować w obecnym układzie stosunków wśród ziemian w Mińszczyźnie. Błędów w nazwach miejscowości zauważyliśmy stosunkowo niewiele (Tulanka zamiast Tulonka, Dągilno zam. Działhila w pow. mińskim, Skryhałów zam. Skryhałów w pow. mozyrskim, Siogda zam. Siogda, Jastrzeb zam. Jastrzębł w pow. nowogródzkim i t. p.). Ponadto mamy tu jeszcze wykaz ludności w gub. mińskiej za r. 1912 według wyznań i płci, wiadomości o instytucjach prywatnych w Mińsku, oraz dwa cenne zwłaszcza dla ludności miejscowej artykuły informacyjne: o przyjmowaniu katolicyzmu i o prawach języka polskiego na Litwie i Rusi. Zamykają tekst kalendarza „postanowienia obowiązujące“, wydane przez gubernatora mińskiego. Miejmy nadzieję, że i w innych większych ogniskach życia na Litwie i Rusi, a przynajmniej w miastach gubernialnych miejscowa inteligencja polska pomyśli o rozpoczęciu podobnych wydawnictw, mogących mieć doniosłe znaczenie, nie tylko dla stosunków lokalnych.

E. M.

Notatka o niektórych naszych siedzibach trynitarских przez Wołyniaka. Kraków 1912. Nakładem autora. Na składzie w księgarni G. Gebethnera i Sp.

Do liczego szeregu prac zasłużonego badacza dziejów pewnych dziedzin naszego życia wewnętrznego na Litwie i Rusi przybyła niedawno książka, traktująca o losach zakonu trynitarского we wschodnich prowincjach byłej Rzeczypospolitej. Autor, ukrywający się pod pseudonimem Wołyniaka, jest, jak wiadomo, niezmordowanym szperaczem i rozporządza ogromną obfitością szczegółów, dotyczących przeszłości tych prowincji. To też prace jego, poświęcone przeważnie dziejom szkolnictwa i kościoła, zawierają zawsze dużo przyczynków, mających wartość i dla ogólnego badacza przeszłości Litwy i Rusi i dla krajoznawcy, interesującego się minionymi losami danych miejscowości. W pracy, której tytuł wypisaliśmy powyżej, opisuje autor z możliwą dokładnością dzieje klasztorów trynitarских w byłym województwie witebskim, t. j. w Orszy, Witebsku i Babinowiczach, a przy sposobności podaje również obszerniejsze wzmianki o domach misyjnych trynitarских, jakie istniały na Rusi: w Białym Kamieniu, Chotyńiu, Zińkowie, Horochowie, Braclawiu i Zbarażu. Prostuje tu p. Wołyniak немало błędnych informacji, podanych w dawniejszych

pracach innych autorów o tych miejscowościach i o związanych z nimi ludziach.

E. M.

Antykwarnia Warszawska. Katalog N. 3.

Ruchliwa firma wypuszcza już trzeci z rzędu katalog, poświęcony tym razem numizmatyce, sfragistyce i skarbowości. Jest tam i kilka dzieł dotyczących krajoznawstwa, między innymi np. „Tabula geographica dioecesis Cracoviensis Librum beneficiorum illustrans“ Piekosińskiego t. j. mapa dyecezyi krakowskiej pg. „Liber beneficiorum“ Długosza.

T-t.

Antoni Bolesław Dobrowolski. Wyprawy polarne. Historia i zdobycze naukowe. Nakład Henryka Lindenfelda. Warszawa 1914 8-o str. XVI+359 z 2 map, tabl. i ryc. w tekście.

Nikt w Polsce nie był bardziej przygotowany do napisania dzieła o wyprawach polarnych od autora niniejszej książki. Obok Henryka Arctowskiego, również meteorologa, a jego towarzysza z belgijskiej wyprawy antarktycznej, jest Dobrowolski jedynym Polakiem, który zwiedzał i badał kraje wiecznego śniegu i lodu. To też dzieło, które leży przed nami, nie jest kompilacją, lecz pracą na wskroś oryginalną, przynoszącą zaszczyt zarówno autorowi, jak i ubogiemu naszemu piśmiennictwu z tej dziedziny. Książka niniejsza stara się odpowiedzieć na dwa pytania: 1) w jaki sposób ukształtowały się nasze wiadomości o krajach polarnych, 2) co wiemy dziś o tych krajach.

Część pierwsza, historyczna roztacza przed nami szczegółowo dzieje podróży polarnych od Pitteasa z Marsylii (w IV wieku przed Nar. Chr.) aż do ostatnich badań. Są to piękne karty w dziejach ludzkości, szkola charakterów i energii, szczególnie jeśli mowa o ostatnim stuleciu, o Skandynawach i Anglikach, którzy wiedli i wiodą prym w podróżach polarnych. Początkowo wyprawy polarne miały charakter praktyczno-handlowy: bądź poszukiwania przejść północno-wschodniego i północno-zachodniego, bądź polów fok i wielorybów. W ostatnich dopiero czasach zjawil się nowy kierunek — „sportowy“, gdzie walczone o stopnie, minuty i sekundy szerokości geograficznych. Oczywiście, że podróże o charakterze handlowym i „sportowym“ miały doniosłe znaczenie — dzięki nim nasze wiadomości geograficzne rozszerzyły się stopniowo i dla nauki wszakże najdonioślejszemi były i będą w przyszłości nie podróże polarne na aeroplanach lub w łodziach podwodnych, pomysły których rodzą się w głowach ekscentrycznych sportowców, lecz podróże naukowe. Taką podróżą naukową była np. wyprawa belgijska, w której, jak wyżej wspomnieliśmy, brał udział autor niniejszego dzieła.

Przebieg tej wyprawy opowiada p. Dobrowolski szczegółowiej, co jest tem ciekawsze, że są to osobiste wrażenia uczestnika podróży. Jednakże również obszernie mówiono o podróżach i przygodach Nansena, Amundsena, Nordenskiöld, Pearego, Shackletona, nieszczęsnego Scota i innych bohaterów polarnych. Historia podróży, ten nieskończony w rozmaitości swych barw nieprzebrany kalejdoskop przy-

gód, nadspodziewanych trafów fatalnych i szczęśliwych, tragedii wstrząsających i ocalań cudownych, znalazł w Dobrowolskim sumiennego naratora.

Druga—naukowa część dzieła podaje rezultaty dotychczasowych badań polarnych, a raczej rozta-
cza przed nami obraz tych dziwnych i ciekawych
krajów w całej pełni ich oryginalnej piękności. Uwzglę-
dnione są tu zarówno geografia i geologia tych
krajów, jak i ich klimat, zjawiska meteorologiczne,
fauna i uboga flora. Nawet człowiek podbiegunowy
nie został pominięty. Podaje zaś Dobrowolski nie-
tylko streszczenia prac dawniejszych, lecz i hipote-
zy, odnoszące się do łądów i mórz nieznanymi
jeszcze nam bliżej lub do zjawisk, których zagadka
jeszcze przyrodzie nie została wydarta przez czło-
wieka.

Dlatego też książka Dobrowolskiego daje nam
więcej, niż zwykły opis geograficzny. Znajdujemy
w niej wytłumaczenie, dlaczego bieguny są klucza-
mi do poznania zjawisk ziemskich (geodetycznych,
meteorologicznych lub geologicznych), dlaczego teo-
rya dwubiegunowości fauny biegunów t. j. symetria
życia obu krajów polarnych nie wytrzymuje krytyki
naukowej, ustępując miejsca asymetrii tych krajów.
I tłumaczy nam dokładnie autor przeciwstawność
postaci dwóch krańców globu, rysując nam obraz
wielkiej misy oceanicznej, ujętej w spójną ramę kon-
tynentów, jaką jest Arktyk i Antarktydę, najwyższy
(ok. 2000 m. nad poziom morza) kontynent, oto-
czony zewsząd oceanem. Nie mamy zamiaru stresz-
czać tutaj całego dzieła Dobrowolskiego, odsyłając
wszystkich, którzyby się tem bliżej interesowali do
tej pięknej pracy. Zaznaczyć trzeba, że „Wyprawy
polarne” wydane są nadzwyczaj starannie. Zdobią
je piękne i starannie dobrane ilustracje, mapy i oz-
doby Póltawskiego. To też z radością podkreślamy
coraz częstszy u nas fakt pojawiania się w handlu
księgarskim oryginalnych i pięknie wydanych dzieł
podróżniczych i geograficznych. Jest to sympatyczny
objaw budzenia się polskiego ruchu geograficznego,
który społeczeństwo nasze żywo poprzeć powinno.

Bolesław Olszewicz.

oooooooooooo

Odezwa w sprawie kapliczek przydrożnych.

W Nr. 8 „Ziemi” donosiliśmy, że przez trzy
towarzystwa warszawskie: Polskie Towarzystwo
Krajoznawcze, Towarzystwo Opieki nad zabytkami
przeszłości i Warszawskie Towarzystwo Artysty-
czne wyłoniona została wspólna komisja do zin-
wentaryzowania i wydania w specjalnym albumie
krzyżów i kapliczek przydrożnych. Komisja ta od-
była już trzy posiedzenia i, zarysowawszy zgruba
program swej pracy, przystąpiła do przegląda-
nia materiału, nagromadzonego w zbiorach wyżej
wspomnianych towarzystw.

Uzyskawszy aprobatę i poparcie J. E. Arcybi-
skupa Kakowskiego, komisja liczy na szerokie po-
parcie duchowieństwa, które nie tylko jest w mo-
żności niejednokrotnie zniszczeniu takiego zabytku
zapobiedz, ale może przyczynić się do zebrania
wiadomości o licznych ginących w niepamięci i za-
niedbaniu tego rodzaju okazach sztuki zdobniczej.

W tym celu wydana została odezwa, wyjaśnia-
jąca cele i zadania komisji i poza tem nawo-
lująca do współdziałania wszystkich, komu drobne
nawet okruchy kultury naszej są drogic.

Odezwa ta brzmi jak następuje:

„Skrzętną, pełną miłości i szacunku ręką zbie-
ra się już dziś i podtrzymuje wszystko, co jest bo-
dajby okruchem naszej dawnej świetnej kultury.
Zwrócono przedewszystkiem — i słusznie — uwa-
gę na rzeczy bardziej monumentalne, na prastare
świątynie, pełne nieraz bezcennych wprost skarbów
sztuki, na omszałe ruiny zamków, których każdy
kamień jest relikwią bezmała. Pomimo nieustającej
grabieży obcych handlarzy gromadziło się u nas
i gromadzi wielkie zbiory dzieł sztuki czystej i sto-
sowanej: obrazów, rzeźb, broni, ceramiki, rzadkich
ksiąg.

Z kolei przychodzi czas na zabiegliwą, czujną
opiekę nad wszystkim, co jest tych wyższych, sub-
telniejszych dzieł sztuki — źródłem, tłem i pod-
łożem.

Do takich drobnych, ale nieocenionych niekiedy
dzieł sztuki rodzimej należą krzyże, figury i kapli-
czki przydrożne. Wykonywane najczęściej ręką domo-
rosłych artystów wiejskich, nie celują zapewne wy-
kwintem form ani dostojnością pomysłu, wieje
z nich natomiast cichy, szczerzy sentyment kwiatu
polnego, żarzy się gorąca ekstaza religijna, niekiedy
uderza jakąś lokalną odrębność zdobnictwa ludo-
wego.

Tym skromnym ale szacownym świadkom da-
wnej kultury dzieje się w ostatnich czasach krzy-
wda. Niszczy je, w pył rozkrusza czas i brak opie-
ki, wypiera, co gorsza, zalew nowego, znacznie nie-
stety niższego smaku i poglądów artystycznych. Pa-
noszy się coraz częściej tandeta fabryczna, obca
nam formą, treścią i pochodzeniem.

Tej krzywdzie należy dać sprawiedliwość, te-
mu niewątpliwemu uszczupleniu bogactwa naszej
kultury artystycznej należy zapobiedz. Trzeba utrzy-
mać, co się da utrzymać, trzeba utrwalić przynaj-
mniej w postaci rysunku czy fotografii to, co już
zginęło, albo co na zagładę jest nieuchronnie ska-
zane.

Kierowane tą myślą trzy towarzystwa warszaw-
skie: Polskie Towarzystwo Krajoznaw-
cze, Towarzystwo Opieki nad Zabytkami
przeszłości i Towarzystwo Artysty-
czne, wyłoniły po uprzednim porozumieniu
się grono osób, które się takiej pracy podejmuje.

Chodzi przedewszystkiem o możliwie dokładne
i wyczerpujące zinwentaryzowanie tego, co jeszcze
ocalało. Po zebraniu większej ilości cennego ma-
teryału wydane zostanie — w myśl gorącej odezwy
p. Ludw. Stasiaka w Nr. 52 „Ziemi z roku 1915 —

album krzyżów, figur i kapliczek przydrożnych, które nie tylko uplastyczni nasze w tym kierunku bogactwo, ale przypomni i spopularyzuje piękny, swojski typ polskiej kapliczki, roznieci do niej miłość, na jaką zasługuje, usunie wzory i naleciałości obce. Artysta będzie z niego czerpał natchnienie, fundator — szukał wzoru, oryentował się przy wyborze projektu. Ma zatem, może mieć takie albumy poza naukową wartość praktyczną, podreżną.

Taka praca pod przewodnictwem osób i organizacji, do specjalnej pieczy nad pięknymi zabytkami kraju powołany, objąć powinna i zatoczyć kręgi najszerze. Wzywamy do niej każdego, komu te sprawy są drogie, w pierwszym rządzie Szan. Duchowieństwo, którego światlejsi członkowie dali w ostatnich czasach tyle dowodów petyzmu dla zabytków przeszłości, tyle ujawnili chęci istotnego, głębi sięgającego odrodzenia sztuki kościelnej w Polsce. Do wezwania takiego upoważniają nas słowa zachęty i aprobaty, jakimi przedstawione sobie zamierzenia nasze J. E. ks. dr. Aleksander Kakowski, arcybiskup warszawski, obdarzył raczył.

Zwracamy się poza tem do wszystkich artystów polskich, do każdego wędrowca po ziemiach naszych z gorącą prośbą o nadsyłanie wiadomości, a przede wszystkim, jeśli można, rysunków i fotografii, oraz dokładnego tekstu napisów na wszelkich krzyżach, figurach i kapliczkach przydrożnych, jakiego w miejscu swego zamieszkania czy w podróży znaleźli. Do notatki dołączyć prosimy krótki opis stanu, w jakim się zabytek znajduje, podać, jeśli można, związane z nim legendy i podania, zawiadomić, czy ma na miejscu zapewnioną opiekę, czy nie zagraża mu bezpośrednio niebezpieczeństwo zagłady.

Wszelkie listy, zapytania i posyłki w tej spra-

wie prosimy adresować do Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie, Al. Jerozolimskie 29.

Karol Biske, Tadeusz Cieślewski, Kazimierz Lasocki, Zdzisław Mączyński, Franciszek Krzyżoda-Polkowski, Jarosław Wojciechowski, Kazimierz Kulwiec, Franciszek Eiszewski, ks. Marcin Szkopowski, Stanisław Thugutt i Mikołaj Wisznicki.

oooooooooooo

Kronika krajoznawcza.

+ W Połędze zawiązało się towarzystwo, złożone z właścicieli will, w celu organizacji stałej samochodowej komunikacji między Lipawą a Memlem (Kłajpedą) przez Połagę. W d. 3 b. m. odbyło się zebranie organizacyjne nowego towarzystwa. Uchwalono, zaczynając od 14 czerwca r. b., na początek komunikację utrzymywać przy pomocy trzech samochodów. Podróż z Lipawy do Połagi ma trwać około 3 godzin.

× P. Józef Lipiński, właściciel Zaborowa, uzyskał zezwolenie na przeprowadzenie studyów tramwaju z trakcją pociągową parową lub elektryczną od Warszawy do Błonia, wzdłuż traktu szosowego kaliskiego; z uwagi na monopol tramwajowy kolejka zacznie się na terytorium gminnym na Woli. Studya rozpoczną się niebawem.



Od Administracji.

Prosimy sz. prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał II.

TREŚĆ: *Stanisław Lencewicz* — Wyżyna Kielecko-Sandomierska (c. d.) (z 2 ryc.). Dwory, zamki i pałace. *Stanisław Thugutt* — Pałac Karasia w Warszawie (z 2 ryc.). *Eugeniusz Frankowski* — Z Polesia wołyńskiego (c. d.) (z 2 ryc.). *Adam Chętnik* — Z Zielonej Puszczy (c. d.) (z 1 ryc.). — Z Pol. Tow. Krajoznawczego. — Ze stowarzyszeń. — Nowe książki. — Odezwa w sprawie kapliczek przydrożnych. — Kronika krajoznawcza. — Wkładka: Jezioro Rażno w Inflantach polskich (pow. rzeczycycki).

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwiec.



Kurpie z okolic Baranowa w strojach świątecznych.

fol. F. Malinowski.